ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 2-go Grudnia 1897. Nr. 48.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WZGARDZONA.

Obrazek z XVII wieku przez Sta.

(Dokończenie.)

VI.

Po strasznym roku zarazy i śmierci, nastąpił rok nowy, a z nim prześliczna wiosna, która trawą i kwiatami pokryła groby zmarłych na morowe powietrze.

Mieszkańcy Godowa opłakawszy śmierć krewnych, sąsiadów i przyjaciół, zwykłem rzeczy ziemskich porządkiem. zwrócili oczy i myśli ku przyszłości. Powetowano już w znacznej części straty pożarem sprawione, zwłaszcza, że żniwa wypadły doskonale, pełne były zboża stodoły i brogi, nadzieja lepszej przyszłości napełniała serca.

Przyszłość ta wydawała się zaś tem pewniejszą Godowianom, że młody dziedzic był pomiędzy nimi. Radość we dworze była wielką, a lud cieszył się razem ze sędziwą matką, która nie wiedziała już jak ma dziękować Panu Bogu za powrót syna, który niemal cudem uszedł śmierci w okropnej walce pod Batokiem. Tam to bowiem okrutny ataman zbuntowanych Kozaków, Chmielnicki, napadł zdradziecko obóz polski, otoczył go w około, kazał zapalić nagromadzone zapasy słomy i siana, aby się nikt nie wymknął z obozu, w którym straszliwą rzeź sprawił; rozszalałe kozactwo wyrznęło kwiat rycerstwa polskiego; padła tam młodzież z najznakomitszych domów, mała garstka zaledwo cudem ocalała. Do tych szczęśliwych należał pan Marek.

Ocalenie swoje zawdzięczał miłości i poświęceniu jednego ze sług, który go porąbanego, bezprzytomnego wyniósł z pola walki, sam życiem przypłaciwszy swoje przywiązanie. Młody pan Godowski długo przeleżał nim się wyleczył z ran świeżo odniesionych, ale skoro tylko powstał z łoża, pospieszył do domu, do starej matki, przy której miał już na zawsze pozostać, gdyż wrócił kaleką, niezdolnym do dalszych bojów.

Godowianie radzi byli, że dziedzic już domu nie będzie opuszczał, bo był to pan sprawiedliwy i miłosierny, więc dobrze było poddanym pod jego opieką, podczas gdy jego urzędnicy i słudzy nieraz się dopuszczali nadużyć, mimo, że stara pani czuwała nad ich czynnościami.

Ciepły i słoneczny był dzień wczesnej jesieni, gromadki ludu ciągnęły na dworski dziedziniec; na wszystkich twarzach, obok wesela i zadowolenia maluje się żywa ciekawość. Po ukończonych szczęśliwie zbiorach, pan Marek postanowił wyprawić ucztę wszystkim swoim poddanym, na której obiecał im przedstawić bohaterskiego żołnierza, na którego cześć właśnie miała się odbyć ta uczta.

Kilku sług wiernych towarzyszyło młodemu panu na wojnie, więc wszyscy byli niezmiernie ciekawi, który to z nich i czem się tak bardzo odznaczył; ten

bowiem który życie uratował dziedzicowi, już nie żył.

Na dziedzińcu zastawiono długie stoły z jadłem i napojami, muzykanci ustawili się opodal pod drzewami, a wszyscy mieszkańcy Godowa i innych folwarków pana Godowskiego, stojąc wielkiemi gromadami, otaczali stół wonny w około.

W jednem końcu tego stołu, który stał w samym środku dziedzińca, mając po obu stronach kilka stołów mniejszych, zrobiono małe wzniesienie, gdzie ustawiono trzy wielkie krzesła; na jednem z nich zasiadła dziedziczka, na drugiem dziedzic, a trzecie było jeszcze nie zajęte. Na nie to zwracały się oczy zgromadzonych, a potem pytająco patrzały na pana Marka i jego matkę, za którą kryła się zmięszana Terka. Byłaby ona wolała stać gdzie pomiędzy tłumem, na uboczu, niż na tem wywyższeniu, na oczach wszystkich, ale pani kazała, więc Terka zawsze skromna i posłuszna, stanęła gdzie sobie pani życzyła.

Kiedy już wszyscy zgromadzeni ściśnionem kołem otoczyli stół, szukając ciekawym wzrokiem bohatera, którego im pan Marek przyobiecał przedstawić, młody dziedzic Godowa powstał z krzesła i, trzymając w jednej ręce papiery, odezwał się, wśród głębokiej ciszy, głosem donosłym i uroczystym; mówiąc:

— Moi dobrzy i kochani ludzie! Przyobiecałem wam dziś pokazać rycerza, który niedawno wielką okrył się sławą, którego podziwiam i szanuję, a na którego cześć jest dzisiejsza uczta i połączona z nią zabawa.

Tu Pan Godowski chwycił za rękę zarumienioną i zmięszaną ogromnie Terkę, i mówił dalej podniesionym głosem, w którym drgało tajone wzruszenie:

— Tym rycerzem nie lękającym się śmierci, walczącym mężnie ze straszną potęgą okropnej choroby, tym żołnierzem Bożym, co życie swoje ważył dla bliźnich, jest oto ta słaba dziewczyna, ta uboga i wzgardzona przez wszystkich sierota, to poniewierane i krzywdzone tak często i srodze dziecko. Sami najlepiej wiecie, ilu osobom uratowała życie, gdy czarna śmierć zbierała swoje żniwo w naszej wiosce, wiecie z jaką miłością i poświęceniem pielęgnowała swoich bliskich, zupełnie obcych ludzi i nieprzyjaciół, którzy nią gardzili i odpychali od swego serca. Cały Godów nią gardził, nikt jej tu nie kochał, nikt nigdy przychylności ani serca nie okazał, odepchnięta przez wszystkich sierota, a ona, gdy zdrowi uciekali do lasu i porzucali swoich najbliższych bez opieki, gdy opuszczali swych najdroższych w chorobie, ona, jak anioł Boży, ratowała chorych, dodawała im odwagi, pocieszała i modliła się za nieszczęśliwych. Ojciec niebieski z radością spoglądał na tę pokorną i maluczką służebnicę swoją i pewnie jej w niebie wielką zgotował nagrodę.

Godowianie z pospuszczanemi w ziemię oczami słuchali tej mowy zacnego dziedzica, tu i owdzie dały się słyszeć westchnienia, pan Marek zaś, rzuciwszy po tłumie wzrokiem i widząc, że wielki wstyd zdjął całą gromadę, tak dalej prawił:

— Tak, niewątpliwie, nagroda tej wzgardzonej sieroty będzie w przyszłem życiu bardzo wielka, bo wiara nasza święta uczy nas, że nawet kubek zimnej wody podany bliźniemu z miłości, nie zostanie bez zapłaty. Ale ponieważ Pan Bóg żąda od nas, abyśmy uznawali i czcili cnotę, a wywdzięczali się wedle sił za dobro nam uczynione, przeto ja, któremu ta uboga dziewczyna wyświadczyła wielkie dobrodziejstwo, bo uratowała życie najdroższej mej pani matce, pielęgnując ją z poświęceniem córki i na krok nie odstępując, podczas gdy się wszyscy inni rozbiegli i chorą najmilszą panią, macierz moją opuścili, więc pragnę odważnemu dziewczęciu okazać publicznie mój głęboki szacunek i cześć, jaki mam dla jej cnoty, a nadto wywdzięczyć się, o ile to jest w mocy mojej.

W tej chwili pan Godowski rozwinął jeden z trzymanych w ręku papierów i ciągnął dalej:

— Otóż tym oto aktem i dokumentem urzędowym uwalniam z poddaństwa Teresę Połonkównę, która od dziś jest wolną; a tym tu drugim zapisuję jej, darowuję i oddaję na zupełną własność grunt, leżący pomiędzy dworskimi ogrodami i lasem, a obejmujący trzy włoki;*) pani matka zaś moja zapisuje Teresie posagu tysiąc złotych; pragnąc sierocie okazać także swoją wdzięczność i miłość, jaką dla Teresy powzięła, widząc jej rzadkie, a najpiękniejsze cnoty.

Szmer zdziwienia rozszedł się pomiędzy zgromadzonymi; Godowianie patrzeli na Terkę z podziwem i taką ciekawością, jakby ją dziś pierwszy raz widzieli. Wydała się istotnie teraz wszystkim inną, wyrosła nagle na jakąś wielką, a niezwykłą osobę; myślano sobie, że to już nie jest ta dawniejsza wzgardzona Terka, ale bogata dziewczyna, którą sam dziedzic wraz z matką szanuje, i gotowi byli kłaniać się jej i sławić, ubiegać się o jej łaski. Bo taka już jest ułomna natura ludzka, że powodzenie, szczęście, bogactwo, jakby słońcem takiem blaskiem oblewa w oczach ludzi tego samego człowieka, który w nieszczęściu, w biedzie wydawał się im niczem, uważany był za ostatniego z ostatnich.

Skoro silne poruszenie pomiędzy zgromadzonymi się uspokoiło, pan Marek znowu głos zabrał:

— Uczyniłem, com mógł, aby wdzięczność moją okazać szlachetnemu dziewczęciu, choć powtarzam, że cnoty jej tylko Bóg może nagrodzić, tak, jak na to zasługuje. A teraz mam prośbę do was kochani mieszkańcy Godowa i do was wszystkich dobrzy ludzie. Oto proszę, a mam nadzieję, że nie próżno, abyście wszyscy tak szanowali i poważali Teresę Połonkównę, jako ją pani macierz moja i ja szanujemy i cenimy. Gdybym miał siostrę, pragnąłbym, aby taką była jak Tereska.

— A gdyby mnie Pan Bóg był dał córkę — dodała pani Godowska, ściskając Terkę — czułabym się dumną i szczęśliwą, gdyby podobną była do tej wzgardzonej sieroty.

Trudno wypowiedzieć, co się działo w duszy Terki, podczas tych przemówień; zrazu była tak zmięszana i zawstydzona, że ledwo nie straciła zupełnie przytomności; ale wnet uczucie niewypowiedzianej wdzięczności dla Boga i dobrych państwa przejęło serce sieroty, która gorącą modlitwą bez słów dziękowała Panu Jezusowi za to, co jej dziś w miłosierdziu swojem zgotował.

Modlitwa uspokoiła Terkę zupełnie, lekkie rumieńce zakwitły na jej bladej zwykle twarzyczce, a gdy pani Godowska zamilkła, sierota ozwała się z pewną nieśmiałością, całując ręce państwu:

— Miłościwe państwo, ja nie warta takiej waszej dobroci — mówiła — ale niech wam Pan Jezus za nią zapłaci... Ja się okrutnie cieszę, że nie gardzicie biedną sierotą... A zaś kiedyście już tacy dobrzy i miłościwi dla mnie, to pozwólcie mi jeszcze o coś was prosić...

— Mów, kochane dziecko, niczego ci nie odmówimy dziś, bo to dzień twego tryumfu, zwycięztwa cnoty nad złością i niesprawiedliwością — zawołali razem pani z synem.

— Chciałam oto rzec — poczęła sierota rumieniąc się — że kiedy miłościwy dziedzic podarował mi tak wielki szmat gruntu, to będzie dla mnie zadosyć... a tu jeszcze wielmożna pani daje tyle pieniędzy... Więc jabym prosiła waszej łaskawości, żebyście te pieniądze podarowali Kachnie, siostrze mojej...

Szmer podziwu rozszedł się pomiędzy zgromadzonymi, nawet państwo patrzeli na Terkę zdziwieni; wszyscy bowiem wiedzieli, jak niegodziwą była Idkowa dla sieroty i jak bardzo sama Kachna jej nadokuczała. Dziewczę spostrzegło to, więc dodała prędko, jakby się tłómacząc ze swej wspaniałomyślności:

— Bo stryjenka mówią, że jak stryjek stracił w ogniu wszystkie pieniądze, tak teraz niema już na posag, dla Ka-

*) Włoka gruntu obejmowała 100 mórg dzisiejszych.

chny; bez posagu za mąż nie pójdzie, a ma już na dwudziesty rok, więc musi zostać starą panną na śmiech ludzi... co dzień tak stryjenka biadają.

Wśród Godowian dały się słyszeć żywe szepty i tłumione śmiechy; jedni nie mogli wyjść ze zdziwienia nad dobrocią serca Terki, drugich bawiła i śmieszyła naiwność i prostota sieroty z jaką się troszczyła o wydanie za mąż starszej siostry. Połonka krząkał głośno, Idkowa ucierała nos z hałasem, co zawsze czyniła, gdy była mocno zmięszaną i nie wiedziała, co ze sobą począć.

Sam tylko Michał Dąbrowa się nie dziwił; znał on już do tyla Terkę, że mu się jej postępowanie szlachetne dziewczęcia niczem niezwykłem nie wydało; patrzał przecież na nią ze wzruszeniem, a w oczach radość mu zabłysła, gdy usłyszał, że sierota posag odstępuje Kachnie.

— Daj jej, Panie Boże, zdrowie i szczęście! Onej dzieweczce kochanej — szepnął sam do siebie — że nie chce tych pieniędzy; bez nich nie będzie bogatszą odemnie.

Coraz głośniejsze gwary przerwała nagle pani Godowska, która całując Terkę w czoło, rzekła:

— Dzień dzisiejszy, to jeden z najpiękniejszych dni w mojem życiu. Dziś przekonałam się, że za łaską Bożą najrzadsze i najpiękniejsze cnoty krzewią się w sercach maluczkich i pokornych, a Bóg pozwolił mi poznać takie serce i nagrodzić cnotę; niech Mu dzięki będą za to i chwała!

Słów dziedziczki słuchano w głębokiem milczeniu, a gdy skończyła, zbliżył się wójt tuż do państwa i Terki, poszeptawszy pierw z kilku starszymi i poważniejszymi gospodarzami; zbliżył się, skłonił nisko i tak przemówił:

— Najpierw dziękujemy wszyscy, to jest cała wieś Godów, naszej miłościwej dziedziczce i pani, jako też naszemu młodemu, miłościwemu dziedzicowi, a panu, że nas oboje nauczyli poznać i uszanować cnotę; dziękujemy nakoniec, do nóg się waszych miłościwe państwo kłaniając. A zaś potem przepraszamy wszyscy mieszkańcy Godowa Teresę Połonkównę, za wszystkie krzywdy, zelżywości i niesprawiedliwości, jakie od nas doznała; prosimy o przebaczenie i tak sobie mówimy, że nam go nie odmówi, bo cośmy złego jej uczynili, to nie było ze złej woli, co raczej z nierozpoznania. Rzeknij słowo, Teresa, jako nam darujesz.

Terka powiodła oczami po całej gromadzie, westchnęła cichutko, głośno zaś odparła serdecznie, a skromnie:

— We wszystkiem wola Boża... Jeźli się poczuwacie do winy, niech wam Bóg odpuści; ja gniewu w sercu nie mam do Godowian, a żal ofiaruję Panu Jezusowi. Niech od dziś wszystko złe będzie zapomniane.

— Bóg ci zapłać, Tereso! Cały Godów ci przezemnie dziękuje — mówił wójt dalej — jako też oświadcza, że od dziś uważamy cię wszyscy za chlubę naszej wioski i za wzór dla córek naszych. Z urzędu zaś swego to jeszcze dodaję, ku przestrodze Godowianom, że ktoby odważył się kiedy ubliżyć w jaki bądź sposób Teresie Połonkównie, i przypominać, że matka jej miała nieszczęście być fałszywie posądzoną i przed sądem stawioną, który przecie uznał jej niewinność, jak nam to dobrze wiadomo, ten zostanie pozwany przed nasz sąd i »wedle słuszności« surowo ukarany.

— Nie znajdzie się taki pomiędzy nami! Teresę Połonkównę szanować zawsze będziemy, jako ją nasi miłościwi państwo szanują — wołali starzy i młodzi, jedni przez drugich.

— Tak też ma być — dodał jeszcze wójt, a pan Marek, gdy się ludzie uciszyli nieco, rzekł:

— Ja zaś oświadczam, Teresie, że stanie się wedle jej woli i siostra jej Kachna otrzyma tysiąc złotych posagu. A teraz zapraszam was wszystkich mili przyjaciele do uczty, która już na was czeka.

— Niech żyją nasi miłościwi państwo! Niech żyje nasza miłościwa pani, a matka! Niech żyje nasz łaskawy pan,

a dziedzic! — krzyczała gromko cała zebrana rzesza, a niektórzy dodawali:

— Niech żyje najcnotliwsza z dziewuch! Niech żyje chluba Godowa! Niech żyje Terka Połonkówna!

Wśród tych okrzyków głośnych i radośnych, wesoło zasiadano do stołów, na których czeladź dworska stawiała ogromne misy mięsiwa, jagieł, kaszy, białych kołaczy, oraz dzbany z piwem i miodem. Przy głównym stole zasiedli państwo, a obok nich Terka, wójt, Michał Dąbrowa i inni co godniejsi kmiecie.

Jedzono i pito, wznosząc coraz głośniejsze i raźniejsze okrzyki na cześć państwa dobrych i sieroty, do niedawna jeszcze przez wszystkich wzgardzonej. Za przykładem zacnych i rozumnych dziedziców Godowa poszła cała wieś i okoliczne sioła, bo nic tak dobrze nie działa, jak dobry przykład z góry dany.

Uczta była niezwykle wspaniała, a przeciągnęła się do wieczora, poczem rozpoczęto tańce i pląsą trwające do białego rana; dawno nie pamiętano w Godowie takiej uciechy, a długo później wspominano ucztę, wyprawioną na cześć biednej sieroty.

W tydzień po tym pamiętnym dniu dla Godowian, Michał Dąbrowa odświętnie ubrany, zmierzał od swej zagrody drogą ku wsi wiodącą. Zbliżywszy się do kapliczki, ujrzał Terkę zmierzającą także ku niej; zeszli się oboje przed samemi drzwiami.

— Niech będzie pochwalony, Jezus Chrystus! — zawołał Dąbrowa. — A dokąd to tak spieszysz? Czy tutaj do kapliczki, czy dalej idziesz ku lasowi?

— Na wieki wieków, amen! — odpowiedziała Terka pobożnie. — Do kapliczki idę, nóżki Panu Jezusowi ucałować...

— Toś ty bardzo pobożna... Mnie się zdaje, że ty co dzień tu przychodzisz?

— Albo to co dziwnego? Mój Jezu! Ja co dzień dziękuję Bogu i nie mogę dosyć nadziękować za takie wielkie szczęście, jakie mnie spotkało...

— To się tak cieszysz, żeś teraz bogata? — spytał Michał z niepokojem.

— Ja za wszystko Ojcu niebieskiemu dziękuję; ale pieniądze mnie tak nie cieszą bardzo... Już najbardziej jestem rada, że ludzie zbyli się tej nieprzyjaźni ku mnie. Ale mi jednak na sercu ciężko... żeby tak ojcowie moi żyli... oniby mnie na prawdę kochali... Ale bez ojców... — Terka zawahała się i umilkła, a ciężkie westchnienie wydarło jej się mimo woli z piersi.

— Ale co bez ojców? Coś chciała rzec? — pytał Dąbrowa.

— Żałośnie w sercu... Tak myślę, że u nas w domu, choć się stryj na mnie teraz nie gniewa i gorzkich słów nie mówi, a stryjenka też mi nie dokuczają, to jednak mnie nikt nie kocha.

Terka lubo dobrze tego nie rozumiała, przeczuwała, że Idkowa z Kachną tylko dla pieniędzy jej nadskakują, i to ją bardzo bolało. Połonka zaś choć był teraz lepszy dla sieroty, przecie zimny i samolubny z natury, nie umiał i nie myślał okazywać Terce w czemkolwiek miłości.

— Biedaczko! więc ty doprawdy myślisz, że cię nikt nie kocha i serce cię boli? — pytał ze współczuciem Michał.

— Jakbym mogła myśleć inaczej?! Idkowa na Kachnę i Maciosia to spogląda tak ładnie... tak jak moi ojcowie na mnie patrzeli; dla mnie też niby dobra, ale nigdy tak nie wejrzy, jak na swoje dzieci... O, ja wiem dobrze, że mnie nie kocha.

— A cobyś też powiedziała — ozwał się po pewnem wahaniu Michał — gdybym ja cię kochał na prawdę i bardzo, i pojął za żonę.

Rumieniec oblał twarz Terki, podniosła na Dąbrowę swoje niewinne oczy i rzekła z niedowierzaniem:

— Wy Michale?! I naprawdę chcielibyście mnie tak kochać, jak Idkowa swoje dzieci kocha?

— Już ci powiem prawdę, Terko! Ja od dawna kocham cię tak mocno, jak cię twoi ojcowie kochali. Byłbym

ci to już tak rok powiedział, ale obawiałem się, żeś ty tyle odemnie młodsza...

— To nic nie szkodzi! — odparła naiwnie sierota, a uśmiech niewypowiedzianego szczęścia rozjaśnił jej bladą twarzyczkę, gdy mówiła dalej:

— Ach! Mój dobry Boże! Więc naprawdę mówicie, że miłujecie mnie tak, jak nieboszczyk rodzic mój i macierz moja?.... Ale oni mnie okrutnie kochali! Czy wy aby tak potraficie, Michale!

— Potrafię! Z pewnością potrafię! I nawet coraz więcej cię kochać będę — mówił Dąbrowa z uśmiechem, a łzy mu się w oczach kręciły.

Terka, ze złożonemi rękoma, patrzała przez chwilę w niebo, aż nagle gwałtowne łkanie zaczęło wstrząsać dziewczęciem. Michał się ogromnie przeraził.

— Dziecko najdroższe, co tobie? Terko najmilsza, czego ty tak płaczesz? — pytał z tkliwością. — Bóg widzi, że cię miłuję z całej duszy i szanuję...

— Ja wam wierzę. Ale tu, w piersiach nosiłam od śmierci ojców moich, kamień jakiś, co mnie tak gniotł okrutnie. Teraz zaś we łzy się rozpłynął i kroplami spada mi z duszy; dajcie mi płakać, dajcie.

Dąbrowa w milczeniu razem z płaczącem dziewczęciem wszedł do kaplicy. Terka padła na kolana, objęła krzyż rękoma, i tuląc do niego głowę, mówiła z radością i łzami:

— O, Ojcze niebieski! nie będę już opuszczoną, wzgardzoną samą jedną na świecie sierotą! Tyś to moją dolę przemienił, Panie! Bądź błogosławiony i pochwalony na wieki!

Tej samej jeszcze jesieni wyprawili państwo Godowscy Terce i Michałowi sute wesele, na którem cała wieś hulała do upadłego. Pan Marek zaś nie chcąc, aby Michał był poszkodowany przez wspaniałomyślność żony, która posag swój ofiarowała Kachnie, wręczył Dąbrowie po ślubie tysiąc złotych.

— Poczciwe panisko! — szepnął Michał do siebie. — Dobrze, że dopiero po ślubie dał mi te pieniądze; nie potrzebowałem się wstydzić przy ołtarzu, że bogatszą od siebie biorę dziewczynę.

Od chwili połączenia się z Dąbrową, żyła Terka w niezamąconem szczęściu, kochana i szanowana coraz więcej przez męża, który po za nią świata nie widział, i przez wszystkich Godowian. Lecz im jej lepiej było na świecie, tem stawała się pobożniejszą i lepszą, wiedząc, że wszystko dobre i szczęście zawdzięcza Bogu, który przedewszystkiem patrzy na serce człowieka i według niego sądzi czyny nasze.

KONIEC.

POGRZEB KOŚCIUSZKI.

Biją razem wszystkie dzwony, jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad nimi dzwon Zygmunta, żałość górująca,
Wszystko chłonie — a to niby ojczyzna płacząca.

W cudzych stronach na tułactwie wiódł żywot w boleści,
Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści,
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie, wraca w trumnie hetman ukochany.

Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
Chylą oczy, co żałośną zwilżyły się rosą,
Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen z tyłu chmura chłopstwa — ta najgłośniej szlocha.

Toć to dzieci są hetmańskie — szlochająż jak dzieci!
W tłumie kosa racławicka podniesiona świeci,
To ich sztandar! w koło niego tłum jęcząc wykrzyka:
»Koso nasza! choć z daleka patrz na Naczelnika!«

O, panowie! zróbcie miejsce, niech się zbliżą chłopi,
Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczera skropi,

Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiędze.

* * *

I na Wawel między królów ponieśli hetmana,
I rozwarła się świątynia złotem nabijana.
Zaruszały się posągi — królowie umarli
Na kamieniach sarkofagach na dłoniach się wsparli

I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza,
I spojrzeniem wniebowziętem wita towarzysza.

Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje
I przemawia: »Ja, król chłopków, rękę ci podaję,
Wzdy obydwaj my uczcili zapomniane sługi
I kochali lud gołębi — ja pierwszy, ty drugi!«

U ołtarza arcypasterz i śpiewak Sybilli*)
Wznosi ręce — każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopi o głaz biją czołem,
Oni, co gdy kościół pełny, klęczą przed kościołem.

Już skończono mszę żałobną; w miłej ziemi łono,
W miejsce, gdzie król chciał spoczywać, hetmana spuszczono;**)
Poszedł zdobić tryumf wroga i na żołd zelżywy
Król ostatni, wiele winny, więcej nieszczęśliwy.

Ten, co kochał lud prostaczy, sam skromny od młodu,
Spoczął w króla katakombie — hetman, król narodu!
A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk boleści: »Och, już go zamknęli!«

* * *

»Och, już wzięli Naczelnika, och! już ty nie naszy,
Ciemność sklepień, blask pozłoty serca nasze straszy;

Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiejby ci z nami leżeć na zielonych polach!
Na zielonem, czystem polu, na zielonej łące,
Co dnia ptakby ciebie witał i słońce wschodzące,
Śród upałów twej mogile cień dałyby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.

Z białej Wisły mgła powstaje, w górze świeci słonko,
My czapkami tobie kłonim, z kosą idziem łąką,
Tybyś cieszył się z jej brzęku, choć śpiący i niemy —
Cóż dopiero, kiedy kosy na sztorc nabijemy!

Tak lud żali się i marzy — urywane słowa
Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa,
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha,
Nagle spłonął, krzyczy, biegnie — dobył iskrę z ducha!

* * *

I mogiłę wnieborosłą sypie lud serdeczny!
Próżnaż ona? cóż w nią schować na spoczynek wieczny?
Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz-jasnowidz,
Lud zatroskał się i myśli... »Hej, do Maciejowic!«

Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnej pracy
Biegną pany i kapłany, chłopi i wojacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano a tłumnie,
Jak przekazał duch miłości — pracują rozumnie.

Miłość wiąże i umacnia — praca idzie chyżej!
A krakowska cała ziemia woła: »Wyżej! wyżej!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie...«
I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie...
I urosła; już ją widzi przechodzień daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
Stać jej w straży będą: Miłość i Wiara — dwie służki;
Wawel runie — pozostanie: Mogiła Kościuszki!

Kornel Ujejski.

*) Ks. biskup Woronicz, sławny poeta polski.

**) W miejscu, gdzie ostatni król polski Stanisław Poniatowski, dla siebie grób na Wawelu przygotował, pochowano Kościuszkę. Poniatowski umarł w Petersburgu i tam pochowany.

Jak ustroić choinkę na gwiazdkę?

Urok ustrojonego, światłami błyszczącego drzewka, nadaje dopiero darom, jakie rodzice dzieciom na gwiazdkę dają, prawdziwej wartości. Cóżby bowiem znaczył podarkami zastawiony stół, gdyby na nim brakowało wysokiego, smukłego świerka, którego zapach i jasność łączą się z głośną radością dzieci i z cichem szczęściem rodziców.

Ileż to już godzin naprzód cieszyły

się dzieci na tę chwilę, kiedy się drzwi otworzą i ukaże się choinka w pełni wdzięku i blasku! A z jakąż to wytrwałością i przebiegłością małe niecierpliwe dziewczynki i chłopcy starali

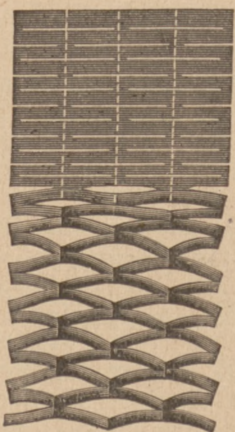


Figura 1.

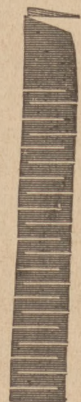


Figura 1 a.

się przedtem przez szpary w drzwiach i dziurki od kluczy, zapuścić wzrok tam, gdzie jak przypuszczali, znajdowało się czarowne państwo drzewka. Ale ostrożni rodzice strzegą tajemniczego przybytku i dopiero gdy wszystkie podarki umieszczone zostaną, gdzie należy, gdy wszystkie światełka zapłoną, wtenczas dopiero dzieci usłyszą z takiem upragnieniem wyczekiwany głos dzwonka, zapraszający rodzinę, krewnych i służbę na wesołe święto.

W obecnych czasach urok tajemniczości, otaczający gwiazdkę, po części się rozwiał, ponieważ w wielu rodzinach strojenie chojenki odbywa się jawnie i wszyscy biorą w tem udział. Aby zastąpić radość niespodzianki, radzimy tym wszystkim, którzy choinkę ubierają, czy oni wielcy czy mali, aby skorzystali z następujących wskazówek, które dają możność własnoręcznego przygotowania wszystkich prawie przyborów do ustrojenia drzewka potrzebnych, a nadto stanowią nader miłe zajęcie.

Figura 1 objaśnia, jak się robi łańcuch z papieru. Składa się oto na cztery części kolorowy papier, jak na figurze 1a widać, następnie nacina go się raz z lewej, raz prawej strony, co także w figurze 1a jest widocznem. Następnie rozwija się nacięty papier ostrożnie i otrzymuje taki łańcuch, jak fig. 1 pokazuje.

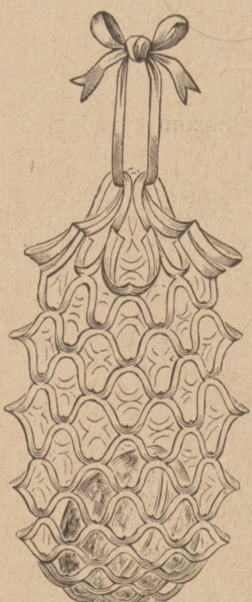


Figura 2.

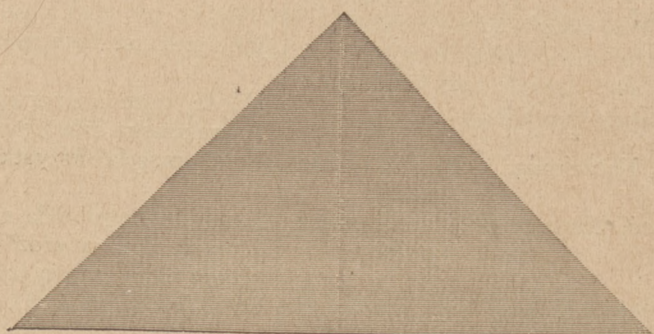


Figura 2a.



Fig. 2d.

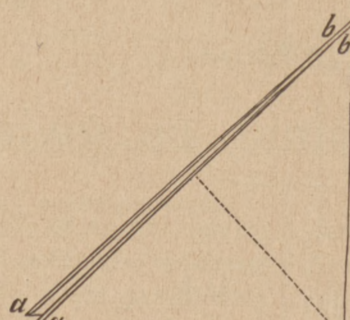


Figura 2b.

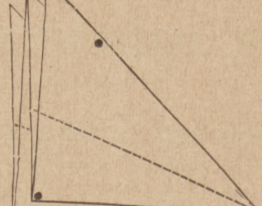


Figura 2c.



Fig. 2e.



Figura 3.

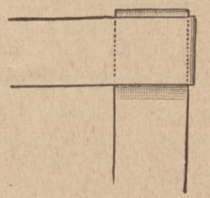


Figura 4a.

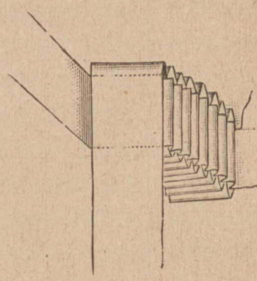


Figura 4b.

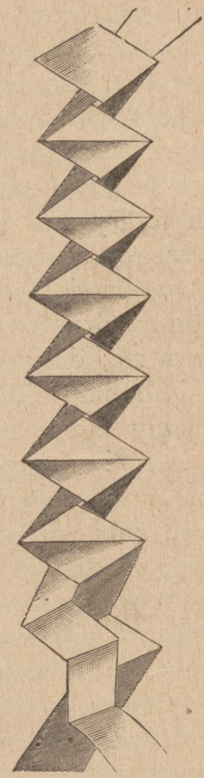


Figura 4.



Figura 5a.



Figura 5.

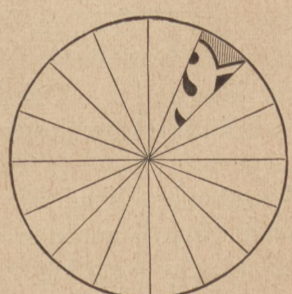


Figura 5b.

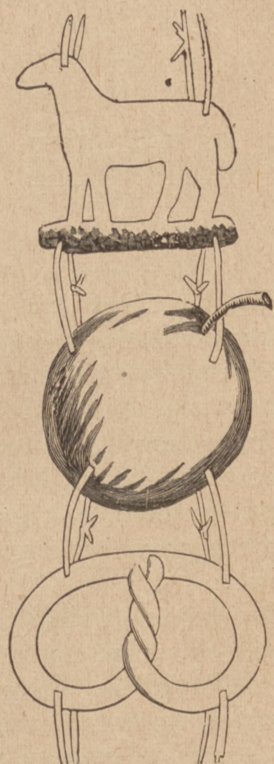


Figura 6.

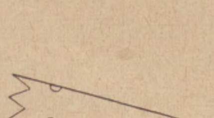


Figura 5c.

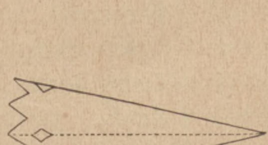


Figura 5d.

Bardzo ulubione są także **siatki**, które robi się tak, jak wskazują **figury 2a, b, c, d.** Kwadratowy arkusz papieru składa się na pół, jak widzimy na figurze 2 a; następnie jeszcze raz tak samo, aby krzyżyki umieszczone w dwóch kącikach figury 2 a, przykryły się wzajem, z czego utworzy się figura 2 b; poczem zagina się koniec **a** na **b** i drugi koniec **a** na drugie **b**, z czego wyniknie figura 2 c; dalej zakłada się znaczek ● na ● i to naprzód i wstecz, poczem otrzymujemy figurę 2 d. Potem trzeba mocno złożyć figurę 2 d i uciąwszy punktami naznaczony koniec, jak we figurze 2 e, robi się cięcie raz z jednej raz z drugiej strony, jak przy łańcuchu. Rozłożywszy potem ośmiokrotnie złożony papier, otrzymamy regularny ośmiokąt, który gdy weń włożymy coś cięższego np. orzech, rozciąga się jak siatka. Taką siatkę napełnioną słodyczami, owocem lub orzechami zawiesza się za pomocą wstążeczki na drzewku.

Figury 3 i 4 przedstawiają łańcuchy innego kształtu. Do figury 4 potrzeba dwóch dowolnie długich równo szerokich pasków kolorowego papieru. Końce ich zlepia się z sobą pod prostym kątem jak na figurze 4 a widać i przekłada się jeden pasek przez drugi, co uwidocznia figura 4 b. Figura 3 jest najprostszą ozdobą choinki. Bierze się równe paski papieru, przeciąga się jeden przez drugi i skleja.

Figura 5 poucza, jak można malowniczo ozdobić szyszki. Przymocuje się do niej drut, na który wtyka się okrągło wycięte papierki A B C D i obwija się z papieru wyciętą frendzlą. Biały krążek B składa się cztery razy, jak wskazują linie fig. 5 b, następnie wycina się to wszystko, co w figurze jest czarno naznaczone. Niebieski krążek A składa się tylko w trzy zgięcia i końce jego wycina się tak, jak w fig. 5 a. Czerwony i żółty krążek C i D składa się cztery razy i wycina podług rysunku figury 5 c i 5 d. Zabawny jest łańcuch z figur, jak wskazuje **figura 6.** Rozmaite z pudełek lub z kart wycięte figury, oblepić kolorowym papierem i połączyć pasmami z lamety.

(Dokończenie nastąpi).

NAJNOWSZE WYPRAWY DO BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.

(Ciąg dalszy.)

W dniu 17-go Września raz jeszcze próbowano dosięgnąć brzegów Islandyi, lecz daremnie. Nazajutrz po wycieczce zdarzyła się niespodziewana katastrofa; w pobliżu okrętu lód zaczął podejrzanie trzeszczeć. Raz było słychać głuchy chrzęst, to znów huk przeciągły, turkot przechodzącego pociągu, gwar wielu głosów...

Dziwne te dźwięki pochodziły ztąd, że kra, obracając się dokoła siebie samej, natknęła się na pierścień lodów, otaczający wybrzeże; niebawem potworzyły się na niej szczeliny.

Załoga statku, w przewidywaniu niebezpieczeństwa, zaczęła na gwałt wynosić ze statku żywność i paliwo.

Dzień 19-go Września rozpoczął się gwałtowną burzą, połączoną ze śnieżycą; miotane falą lody zaczęły naciskać ze wszech stron statek; kilkanaście wielkich odłamów wzniosło się z przodu statku na siedmnaście stóp ponad pokładem; o 12-tej rano marynarze spostrzegli z przerażeniem, iż woda zaczęła się wdzierać do wnętrza ich statku. Rzucono się do pomp w nadziei, iż boki okrętu, pomimo straszliwego nacisku lodu, nie doznały wielkich uszkodzeń; po kilkogodzinnej pracy woda zamiast opaść podniosła się jeszcze wewnątrz kadłuba. Los »Hanzy« był więc postanowionym; nie było ani chwili czasu do stracenia; połowa majtków pra-

cowała przy pompach; druga zaś wynosiła z największym pośpiechem na krę wszystko, co się dało. Dopiero noc położyła tamę tej gorączkowej działalności.

»Hanza« nie zatonęła jednak tak prędko; nazajutrz załoga uratowała jeszcze dużo przedmiotów, pomiędzy innemi: aptekę, lampy kajutowe, książki, cygara i naczynia kuchenne.

Wbrew przewidywaniu, statek jeszcze utrzymał się na powierzchni aż do 21-go Września; w ostatniej chwili udało się nawet ocalić łódź, która się znajdowała na pokładzie. W nocy z dnia 21-go na 22-gi szkielet zgruchotanego okrętu zatonął ostatecznie pod 70^0 52' północnej szerokości, 21^0 zachodniej długości, o półtorej mili zaledwie od wschodnich wybrzeży Grenlandyi.

Po katastrofie zagospodarowano się jak można było najwygodniej w domku, zbudowanym z desek i brył węgla kamiennego. Wszyscy odetchnęli swobodnie, uniknąwszy na razie niebezpieczeństwa.

Tymczasem pole lodowe posuwało się bezustanku na południe; 3-go Listopada znajdowano się naprzeciwko zatoki Shoresby, mimowolna podróż trwała już od paru miesięcy. Marynarze spodziewali się, iż w ten sposób uda im się dosięgnąć okolic odwiedzanych przez statki wielorybnicze i cieszyli się rychłem ocaleniem. Los jednak gotował im jeszcze ciężkie przejścia.

W dniu 2-gim Stycznia znowu kra zaczęła podejrzanie trzeszczeć i wydawać najrozmaitsze odgłosy, jak gdyby w jej wnętrzu pracowały tłumy złych duchów, sprzysiężonych na zgubę podróżników.

Wszyscy zerwali się z przestrachu, gdyż zdawało się, że runą składy prowiantu w pobliżu domku. Nie zauważono jednak nic złego; odgłosy owe nie ustawały przecież; ciągle było słychać przesuwanie, turkotanie, tarcie. Nie ulegało wątpliwości, iż krze groziło rozbicie przez naciskające ją lodowce.

Załoga »Hanzy« przygotowała łodzie, zamierzając na nich szukać ocalenia.

Następnego dnia dowiedziano się, co było przyczyną nocnego alarmu; oto część kry odłamała się, pozostała tylko przestrzeń, mająca jednę milę angielską w obwodzie, tak iż domek był odległym o 200 zaledwie kroków od brzegu lodu. Zaledwie rozbitkowie ochłonęli nieco z doznanych wrażeń, gdy 11-go Stycznia zdarzyła się straszliwa nawałnica; wzburzone fale oceanu wdarły się na krę, która zmniejszała się w oczach; o 25 kroków od domku powstała nagle głęboka szczelina, która oddzieliła go od składu drzewa.

Rozbitkowie sądząc, iż nadeszła już ostatnia godzina, ściskali się za ręce z płaczem. Na szczęście i tym razem skończyło się na strachu. W 3 dni potem powtórzyła się ta sama scena; wśród nocy pękła kra z ogłuszającym grzmotem i siedziba rozbitków rozpadła się na dwie połowy; nastąpiło to tak niespodziewanie, iż podróżni zaledwie zdołali uciec z życiem. Po długiej nocy, spędzonej na mrozie, przekonano się, iż część domku ocalała od zagłady. Wyreparowano go więc jako tako i osiedlono się w nim na nowo; ponieważ jednak zabrakło miejsca dla wszystkich, przeto kilku marynarzy musiało szukać schronienia w jednej z łodzi.

Po tych przygodach nastąpiło kilka tygodni spokoju; Luty był pogodny i kra pędzona prądami płynęła ku południowi, chociaż powierzchnia jej zmniejszała się z dniem każdym. Ląd pozostał daleko i rozbitkowie znajdowali się już na otwartem morzu; tak minął Marzec i Kwiecień. Z wiosną rozpoczęły się deszcze, śnieg topniał tak, iż domek groził lada chwilę zawaleniem. 7-go Maja spostrzeżono wodę wolną od lodu; kapitan Hegeman postanowił więc opuścić krę i popłynąć na łodziach w kierunku lądu. Spuszczono przeto na morze wszystkie trzy łodzie; naładowano je obficie prowiantem i rozwinięto wśród głośnych okrzyków żagle. Była to żegluga bardzo uciążliwa i niebezpieczna; niejednokrotnie lody otaczające wątłe statki, groziły im zagładą; zawsze jednak, dzięki szczęśliwemu przypadkowi,

zdołano uniknąć katastrofy. Ku końcowi Maja pogoda była coraz piękniejsza. W początku Czerwca wylądowano na wyspy Hluidle, gdzie przepędzono kilka dni w błogim spoczynku. Ztamtąd rozbitkowie pożeglowali dalej wzdłuż brzegów Grenlandyi, zarzucając od czasu do czasu kotwicę. Wszędzie napotykano bogatą roślinność i stada rozmaitych zwierząt, które w obfitości dostarczały pożywienia. W połowie Czerwca żeglarze, przebywszy cieśninę Tarsnukatey, zawinęli do Frydrichsthal, kolonii położonej na południowo-zachodniem wybrzeżu Grenlandyi, gdzie doznali gościnnego przyjęcia od misyonarzy.

Z Frydrichsthalu popłynęli podróżni do Julianehabu, zkąd duński okręt zabrał ich do Kopenhagi.

Załoga »Hanzy« zawdzięczała swoje prawdziwe cudowne ocalenie niesłychanej wytrwałości i godnej podziwu odwadze; niemałą też zasługę przypisać należy i dzielnemu dowódzcy, który potrafił w najcięższych chwilach utrzymać porządek i posłuszeństwo pomiędzy swymi podwładnymi wtedy nawet, gdy rozpacz zrywała wszelkie węzły.

Podczas gdy załoga »Hanzy« odbywała swoją awanturniczą podróż na polu lodowem, »Germania« spokojnie zimowała u brzegów wyspy Sabiny. Korzystając z wolnego czasu, marynarze urządzali odległe wycieczki w rozmaite strony na saniach. Ponieważ nie posiadano psów, przeto podróżni musieli sami je ciągnąć, nie wyłączając nawet samego Koldewey'a i Payer'a.

Pewnego razu, wracając do okrętu, żeglarze odkryli obfite pokłady węgla kamiennego i liczne skamieniałości na wyspie, którą ochrzczono mianem Węglowej.

W dniu 5-go Listopada słońce zaszło i nastała długa trzymiesięczna noc podbiegunowa, która położyła kres wycieczkom. Załoga mając obfite zapasy i lekarstwa, przepędziła zimę pomyślnie; dla zabicia czasu, zajmowano się czytaniem, pisaniem, rysunkami, polowaniem i tak niepostrzeżenie prawie doczekano się świąt Wielkanocy. Najprzykrzejszemi były częste burze, połączone z zawiejami śnieżnemi, które pozbawiały marynarzy nieraz na kilka dni ruchu na wolnem powietrzu.

Jedna z takich burz pogruchotała lody, odległe o trzysta zaledwie kroków od okrętu; marynarze dziękowali Opatrzności, iż dzięki małym rozmiarom okrętu, mogli go umieścić głęboko w zatoce. W przeciwnym razie bowiem potęga orkanu zniszczyłaby go niezawodnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WODA.

Jedynym i najlepszym napojem jest woda. Inne napoje, jak piwo, wino, orszada są o tyle tylko napojem, o ile zawierają wodę, bo reszta części składowych, to są albo rozpuszczone pokarmowe substancye, albo pewne podniety, nie zaspakajające pragnienia.

Bez wody ani żywienie, ani trawienie i tworzenie krwi, ani żadne wydzielenia odbywać się nie mogą. Jest ona warunkiem życia, bo wszelkie zmiany w ustroju przypuszczają ruchomość i płynność komórek, tworzących tkanki. Trzy ćwierci ciała naszego składają się z wody, a zatem człowiek, który waży 75 kilogr., zawiera w sobie 60 kil. wody, w mózgu jest 80% wody, we krwi 80%, w kościach 26%, w mięśniach 75%, w soku pokarmowym 93%. Ciało młodych ludzi zawiera więcej wody, bo do 87%, u starszych ilość ta się zmniejsza, wynosi bowiem do 79%. Ciało starzejąc, traci swą wodę i idzie ku śmierci przez powolne wysychanie.

Jakkolwiek woda nie zawiera w sobie pożywienia, jest przecież pokarmem, bo dłużej żyć można bez pożywienia, aniżeli bez napoju. Woda czyni tkanki

sprężystemi, umożliwia trawienie w żołądku, tworzenie się miazgi pokarmowej i mlecza pokarmowego, krążenie krwi i soków, przesiąkanie części odżywczych rozpuszczonych do odżywić się mających tkanek i zwrot zużytych do gruczołów wydzielających, wymianę gazów w płucach, nareszcie parując przez płuca i skórę, utrzymuje równowagę temperatury ciała.

Człowiek dorosły traci codziennie przez oddech 1000 gramów wody, a przez pot i inne odchody od 2 do 3 litrów wody; ilość ta zmniejsza się lub zwiększa stósownie do temperatury zewnętrznej i wykonywanej pracy, gdyż przy usilnej pracy muskularnej ilość utraconej wody zwiększa się w dwojnasób. Ubywająca woda musi być zastąpioną, bo brak jej spowodowany ubytkiem zwykłym wyraża się pragnieniem.

Woda, łącząc się z pokarmami, przeistacza je. Krochmal, który przyjmujemy w potrawach roślinnych bez wody, nie przemieni się w cukier, ponieważ zaś ów cukier przekształca się następnie w tłuszcz, przeto nie mielibyśmy tego tłuszczu, gdybyśmy nie pili wody, jakkolwiek na pierwszy rzut oka dziwnie to brzmi, że człowiek tyje od wody.

Ze względu na tak wielką ważność wody dla ustroju, zdrowie ciała wymaga dobrej wody. Zdawałoby się, że najlepszą byłaby woda chemicznie czysta, destylowana; tak jednak nie jest, bo destylowana woda nie jest smaczna i żołądek pochłania ją z trudnością.

Dobra woda do picia powinna wypełniać następujące warunki: Być przezroczystą, bezbarwną i bez zapachu, powinna zawierać rozpuszczone w sobie powietrze, pewną ilość kwasu węglowego i trochę dwuwęglanu wapna: powinna mieć temperaturę nie niższą od 6^0 C a nie wyższą nad 15^0; nareszcie w wodzie ma być jak najmniej materyj organicznych, które przyczyniają się do jej gnicia. Gdy woda zawiera za wiele wapna, jest ciężką, niestrawną, nieodpowiednią do gotowania potraw strączkowych i do rozpuszczania mydła.

Taka doskonała woda jest bardzo rzadką. Doświadczenia wykazały, że woda zdatną jest do picia, jeżeli nie zawiera w sobie więcej nad pół grama różnych soli na litr materyi organicznych. Woda z błota, bagna, torfowiska, bogata w te materye, nie powinna być używana do picia. Przekonano się, że warstwa ziemi lub piasku 1½ metra gruba, o ile nie jest nasiąknięta substancyami gnijącemi, nie przepuszcza już żadnych materyi organicznych, a zatem i bakteryj szkodliwych.

W wodzie nawet czystej, stojącej w pomieszkaniu, bardzo prędko rozmnażają się bakterye, zwłaszcza w ciepłem i zadusznem powietrzu. Dlatego woda do picia trzymaną być powinna w naczyniach starannie nakrytych i o ile można w miejscach chłodnych.

Najlepszy sposób oczyszczania wody nieczystej jest przegotowanie jednokrotne lub dwukrotne, a następnie po oziębieniu jej przefiltrowanie przez bibułkę kilkakrotnie złożoną, flanelę lub watę, węgiel drzewny grubo tłuczony lub czysty piasek. W ogóle filtry tem czyściejszą dają wodę, im powolniej się ona przez nie przesącza.

Zaopatrywanie w dobrą wodę wielkich miast przedstawia nadzwyczajne trudności i znacznych wymaga nakładów, bo oprócz wody do picia, mieszkańcy miast potrzebują wielkich ilości do użytków gospodarskich i przemysłowych, do polewania ogrodów i ulic, do przepłukiwania kanałów i rynsztoków a nadto do gaszenia pożarów. Wprawdzie do tego ostatniego użytku możnaby zastosować wodę nie mającą wyżej wymienionych własności dobrej wody do picia, ale w takim razie potrzebaby w mieście przeprowadzić dwa systemy rur wodociągowych.

Najskromniej obliczona ilość wody na jednego człowieka wynosi około 55 litrów, a mianowicie 3½ litra do gotowania, 1½ litra do picia, 22½ litra do mycia ciała, 14 do mycia sprzętów, 13½ do prania. Ze względu zaś na inne potrzeby miejskie należy wodociągi urzą-

dzać tak, ażeby na jednego człowieka przypadło najmniej 100 litrów wody.

Niejednego zainteresuje, jaka ilość wody przypada na jednego mieszkańca dziennie w różnych miastach. I tak w

Aleksandryi	71	litr.
Atenach	96	»
Buffallo	391	»
Kairze	50	»
Chicago	421	»
Kopenhadze	60	»
Genui	100	»
Lauzannie	567	»
Madrycie	14	»
Paryżu	160	»
Petersburgu	96	»
Sztokholmie	69	»
Wenecyi	36	»
Waszyngtonie	67	»
Amsterdamie	50	»
Berlinie	59	»
Kalkucie	99	»
Christianii	177	litr.
Dreznie	67	»
Hamburgu	204	»
Londynie	140	»
Monachium	148	»
Peszcie	148	»
Rio-Janeiro	136	»
Tryeście	18	»
Wiedniu	59	»
Warszawie	224	»

Bogate stolice krajów europejskich starają się o dostarczenie jak największej ilości wody mieszkańcom swoim i dlatego muszą jej szukać w bardzo odległych źródłach. Woda sprowadzona i i przeznaczona po części do picia, musi być czysta i zdrowa, dlatego ją sprowadzają ze zbiorników, ile można najczystszych a mimo to poddają jeszcze oczyszczeniu. Zbiorniki urządzają się osadowe i filtrujące. Filtry robią się z pokładów grubych kamieni, żwiru i pisku.

O księciu Dymitrze i o Hryciu Rusinie.

(Ciąg dalszy.)

Trzeba zdarzenia, że tejże nocy nieopodal w dużej porębie parobcy ze wsi Obertyna konia paśli. Jednemu z nich koń zaszedł głębiej w las, więc poszedł za nim ażeby go do stada zawrócić. W tem słyszy jakieś kwilenie dziecka... słucha... nie myli się, wyraźnie dziecko płacze! Podchodzi coraz to bliżej, przedziera się ostrożnie krzakami i spostrzega, jak się drewna na ognisku dopalają a w około jacyś ludzie to jedni śpią, to drudzy kiedy niekiedy z ziemi głowy podnoszą i rozglądając się chwilę po lesie, znowu do trawy skronie przykładają i śpią jak drudzy. W tem cygan brodaty powstał, przyłożył kilka drew na ognisko, zaszwargotał coś gniewnie i natychmiast kilku cyganów powstało, trzymając dalej straż. Płomień zasycony nanowo buchnął wysoko. Wtedy parobczak z za krzaków dobrze zobaczyć mógł całą bandę cygańską, a zarazem spostrzegł małą dziecinę, ubraną w ładną sukienkę, a stara cyganka właśnie po rączkach ją biła ze złości, że ciągłym płaczem spać jej nie daje... Włosy na głowie powstały ze zgrozy parobczakowi, bo się domyśleć mógł łatwo, że to nic innego, tylko kradzione było dziecko, kiedy tak pięknie ubrane i tak bieluchną ma buzię, nie jak cygańskie dzieci prawie czarne, nigdy niemyte... Cóż tedy robi? oto wraca się napowrót co tchu i tak samo cichaczem i opowiada drugim parobczakom, co widział.

— Słyszycie chłopcy! — zawołał w końcu do nich rusińską mową — jest nas dwunastu, trzeba odbić to biedne dziecko skradzione. Każdy z nas ma tęgi kij w ręku; podsuniemy się do nich cichaczem, a potem wypadniemy z nienacka rozbijemy i uwolnimy dziecko chrześciańskie z tych rąk pogańskich.

— Zgoda, zgoda Hryciu! Odbijemy, odbijemy skradzione dziecko — zawołali

wszyscy — prowadź nas, rozbijemy w puch tych złodziei.

Tak też zrobili, jak Hryć doradził. Podeszli cicho, rozciągnąwszy się w jedno koło, a potem jak nie krzykną w głos jeden straszny, potężny: »ha zbójcy! ha złodzieje!« jak nie palnie każdy w upatrzonego, — to i nie upłynęło dwóch minut a już dziesięciu cyganów leżało prawie bez duszy, tak ich dzielnie przywitali kijami. Ale druga połowa i wójt ich, chcieli się bronić i nawet dwóch parobczaków ogłuszyli pałkami, ale to nie wiele im pomogło. Hryć tak wywijał zacięcie pałką swoją dębową po głowach cygańskich, że wójt i inni z potłuczonemi kośćmi jęczeli od bólu na ziemi. Wtedy to Hryć, co od początku miał ciągle na oku babę z dzieckiem kradzionem, podniósł je z ziemi, bo je porzuciła baba, której już nie ścigał po lesie, ani też innych kobiet i trzech cyganów, którym się udało z całemi kośćmi zniknąć w ciemnej gęstwinie. Hryć otoczył się parobczakami i razem z nimi wróciwszy do swoich koni, prędko do wsi z dziewczątkiem odjechał. Tam oddał w opiekę dziecko kobietom, a sam zwoławszy gromadę tej samej jeszcze nocy poprowadził ją do lasu, gdzie poranionych cyganów zebrali, aby ich oddać w ręce sprawiedliwości.

Kiedy ich badano we wsi, zkąd mają dziecinę, odpowiadali wszyscy jedno; że je jadącej drogą jakiejś kobiecie zabrali. Ale jeszcze sąd z nimi śledztwa nie skończył, kiedy w najbliższą Niedzielę w całej okolicy księża z ambon głosić zaczęli: że księciu na Wiśniowcu zginęła córeczka w 3 roku życia, tak a tak wyglądająca, a którą prawdopodobnie cyganie ukradli, że zatem wzywa się każdego aby doniósł rodzicom, czy nie widział gdzie ich córki, lub czego o niej nie wiedział.

* * *

Wróćmy się teraz na chwilę do zamku Wiśniowieckiego.

Kiedy piastunka i stary Ostafi nie wracali do domu a już słońce zachodziło, wysłała chora księżna ludzi dworskich, aby piastunkę zawołali do zamku. Dworscy przychodzą na łąkę, patrzą aż tu leży piastunka i służący, i śpią w najlepsze, ale Praksi nie ma!... Budzą ich, wstrząsają na próżno, śpią jak kamienie. Donoszą więc księżnie, co widzieli. Księżna w płacz, zaniemogła jeszcze mocniej: rozsyłają gońców na wszystkie strony, nic nie pomaga, ani śladu biednego dzieciątka! Dopiero późno w noc, gdy obudziła się piastunka i służący, dowiaduje się księżna, jak się uśpili ową wódką cyganki i że zapewne ona ukradła Praksię. Za dni kilka powrócił i książę Dymitr ze zwycięzkich bojów. Nowa rozpacz, nowe poszukiwania bez skutku! Na domiar nieszczęścia, księżna leżała chora bez duszy. Niedbałą piastunkę i służącego książę zrazu wydalił z zamku; lecz potem zbadawszy bliżej ich mimowolną winę, powrócił do służby. Ale oni podziękowawszy księciu ze łzami w oczach za tę dobroć, prosili go, aby im pozwolił iść w świat szukać skradzionej księżniczki.

— Dopóty nie wrócę na zamek — rzekł stary Ostafi, dopóki nie wynajdę dzieciny.

Ale niedługo dowiedział się książę, że poczciwy Ostafi siódmego dnia jak wyszedł z zamku, umarł przy drodze na Ukrainie. Biedny starzec! Serce mu pękło z żałości, poszedł szukać dziecięcia zupełnie w inną stronę. I piastunka dopytując się o księżniczkę po drogach, wsiach i miastach, napróżno błądziła.

II.

Hryć na zamku Wiśniowieckim. Potem wyprawia się z księciem na wojnę.

Żeby długo nie opisywać, powiemy, że Hryć i matka jego, która w drodze karmiła i otulała księżniczkę, przyjechali pewnego dnia w miesiącu Czerwcu przed most zwodzony Wiśniowieckiego zamku. Jechali oni w wygodnej karecie, którą pan z Obertyna dał pod znalezione dziecko książęce. Przyjechali właśnie wtedy, kiedy już w zamku nie

spodziewano się ujrzeć kiedykolwiek zgubionego dziecka. Zaraz więc most spuszczono na rzekę i wjechali na dziedziniec. Cóż tam za radość! co za szczęście zawitało teraz! Nawet wypuszczony więzień z długoletniej niewoli nie cieszy się tak, kiedy się ujrzy na wolnem powietrzu, jak się ucieszył stroskany książę Dymitr, gdy z rąk Hrycia wziął Praksię, gdy ją całował i pieścił. Poniósł ją zaraz do schorzałej żony, która w gorączce wciąż o swej córeczce mówiła; to się znów śmiała, to płakała na przemian. Mała dziecina poznała zaraz rodziców, szczebiotała swojemi słówkami rozkosznemi, i tuliła się do gorącego łona matki. Chora zrazu duże oczy zrobiła, wpatrując się w Praksię; ale potem odepchnęła ją ręką i wyrzekła jakby w obłąkaniu:

— Nie wierzę! nie wierzę!... To nie moja Praksia jedyna.

Ale kiedy dziecko płakać zaczęło, że je matka odpycha, spojrzała się jeszcze raz na nie; potem westchnęła ciężko i tuląc dziecinę do serca, zapłakała rzewnemi łzami. To jej ulżyło; poznała przecie swą córkę i od tej chwili cudownie do zdrowia przychodzić zaczęła. Kiedy już była znacznie zdrowsza, książę na znak wielkiej radości, kazał dać sto strzałów armatnich z wałów zamkowych; sprosił wielu przyjaciół z okolicy i dla gromad w licznych wsiach swoich wyprawił sutą ucztę z piwa, miodu i różnego mięsiwa. W zamku wśród biesiady posadził Hrycia z matką jego pomiędzy panami za stołem i opowiadał wszystkim, jaki zuch z owego Hrycia, jak bandę cyganów rozbił i córeczkę mu wrócił, i pił wino z gośćmi wszystkimi za jego zdrowie.

— Już cię mój Hryciu nie puszczę od siebie, — rzekł książę — jeżeli ty i matka twoja gotowi jesteście pozostać u mnie na zawsze. Będziesz miał u mnie chleb i dobre zasługi na całe życie; a i twojej matce dam na własność zagrodę z gruntami.

Hryć i matka jego, jako ludzie biedni, chętnie przyjęli tę ofiarę uradowanego księcia.

Potem zaprowadził książę Hrycia do skarbca swojego; tam otworzył mu dwie skrzynie: w jednej błyszczały same srebrne pieniądze, a w drugiej same złoto i rzekł:

— Hryciu! z każdej skrzyni napełnij sobie czapkę pieniądzmi. Za twoją usługę nie wiem doprawdy jak cię wynagrodzić. Bierzże dwie czapki tych pieniędzy i nie ociągaj się — dodał książę.

A młody Hryć tak odpowiedział:

— Z tego co mi przyrzekł miłościwy książę, będę szczęśliwym na całe życie; bo i czegóż mi więcej potrzeba nad to, abym przy pracy miał u księcia chleb dostatni na całe życie? Matka też z daru waszej książęcej mości będzie szczęśliwa. Pieniędzy mi więc tych nie trzeba. To co zrobiłem, nie jest tak wielką zresztą rzeczą; każdy uczciwy człowiek postąpiłby sobie tak samo jak ja w owym wypadku. I tylko się z jedną prośbą odezwę do miłościwego księcia: Oto mam przyjaciela, którego bardzo kocham, a który już od roku jęczy w tatarskiej niewoli; przeto, jeżeli wasza książęca mość ma chęć dać mi te pieniądze, to niechże chyba tylko na wykup mojego przyjaciela z niewoli pójdą. On ma bardzo biednych i starych już rodziców i jest im bardzo potrzebny. Oto moja jedyna prośba.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

FRASZKI.

* **Myśl pijaka.**

Dziwne bardzo są zaiste,
Wybryki przyrody;
Ot naprzykład często bywa
Jakiś wylew wody...
A daleko przecież lepsze
Byłyby stąd skutki,
Gdyby tak się choć raz zdarzył,
Jaki wylew... wódki!

* **Na jarmarku.** A macie Icku świadectwo na tego śniadego konia?

— Miałem, ale zgubiłem.

— To ja się boję go kupić.

— Nie bójcie się Wojciechu; ja wam daję honorowe słowo, że ten kuń nie był nigdy kreminalnie karany!

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 2-go Grudnia 1897. Nr. 48.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Bernadetta czcicielka Różańca świętego.

Najwspanialszem zaleceniem świętego Różańca jest sławne dziś Lourdes, gdzie sama Królowa nieba poleciła go odmawiać, objawiając się ludziom z Różańcem w ręku. Nie jestże to niemą ale uroczystą zachętą, skierowaną przez matkę miłosierdzia do wszystkich: bogatych i ubogich, wielkich i małych, sprawiedliwych i grzeszników.

— Oto zbawienie! Oto modlitwa, a osobliwie modlitwa Różańca św., którego wyobrażenie trzymam w ręku. Oświadczam wam w imieniu Syna, że najskuteczniejszym środkiem do zwycięstwa nad grzechem, do postępu w cnocie, do otrzymania pociechy w nieszczęściach i zbawienia dusz waszych, jest modlitwa nieustanna, pokorna, ale królewska modlitwa Różańca św.

Mała Bernadetta nie umiała więcej jak Ojcze nasz, Zdrowaś, Wierzę i Chwała Ojcu, ale pobożna ta dziewczyna odmawiała często te modlitwy za pomocą różańca, który zawsze na sobie nosiła. Otóż tę to dziewczynkę ubogą wybrała sobie Marya na pośredniczkę i apostołkę w sławnych swych objawieniach, w grocie Massabielskiej.

Było to dnia 11-go Lutego 1858 r. około południa, gdy idąc po suche patyki nad brzegami Gawy, przyszedłszy do stóp skały, usłyszała silny prąd wiatru, choć ani listek na drzewach się nie poruszył. Przestraszona patrzała trwożnie w około siebie i drżąca z przerażenia, pochyliła się, padając na oba kolana. Nadzwyczajne widowisko wzrok jej uderzyło. W zagłębieniu skały stała opromieniona jasnością nadzwyczajną, niewiasta nadludzkiej piękności. Szata jej była śnieżnej białości, powłóczysta, na głowie welon biały spadający na ramiona, przepaska spadająca prawie do samych nóg, ozdobionych różami złotemi. W rękach pobożnie złożonych trzymała koronkę.

Było to pierwsze z tych licznych objawień, które trwały aż do Poniedziałku wielkanocnego, t. j. do 5 Kwietnia, w przytomności niezliczonego narodu. Bernadetta zaczyna odmawiać Różaniec, a Najśw. Panna, jakby zwabiona tą modlitwą, nie omieszkała objawić się swej wybranej służce.

Prawdą jest, że przez Bernadettę Najśw. Panna raczyła się niejako całemu światu objawić. Uczyniła sobie z Bernadetty narzędzie cudów i jakby zwierciadło, w którem odbijał się promień jej majestatu. We Środę 24-go Lutego, cudowne źródło zaczęło wytryskać.

Więcej jak 20.000 ludzi zgromadziło się nad brzegami Gawy. Na widok tej rzeszy, Bernadetta, zachwycona objawieniem ponownem Najśw. Panny, zdawała się zupełnie przemieniona.

— Nie widzimy Matki Boskiej, — mówili ludzie — ale widzimy Jej odblask na twarzy Bernadetty.

Wtedy na rozkaz Królowej nieba widziano, że pobożna ta dziewczyna wygrzebywała dołek w ziemi, w tejże chwili ujrzano, że ta ziemia sucha i skalista wilgotnieje, zmienia się w wodę mętną zrazu, potem się staje przezroczystem źródłem, pełnem i obfitem, które teraz 122,000 litrów dziennie wydaje. Roznoszona po całym świecie, jak wiadomo, woda ta nie przestaje uzdrawiać, czynić cudów, istny symbol łask, których Różaniec jest źródłem w całym świecie.

Kolonie polskie w Brazylii.

P. St. Kłobukowski, który od 2 lat z górą przebywa w Brazylii, podaje w Zgodzie chicagoskiej ciekawe szczegóły

o koloniach polskich w Ameryce południowej.

»Najwięcej ludności polskiej znajduje się w stanach południowych Brazylii, cokolwiek w pozostałych, oraz w Argentynie, Urugwaju i innych hiszpańskich rzeczach pospolitych. W brazylijskim stanie S. Paulo są rozproszeni przeważnie po plantacyach kawy i po miastach; skupieni są tylko w sporych, co prawda, koloniach, S. Bernardo i Capivari. Tamże kawy nie uprawiają, lecz zajmują się uprawą roli, oraz robotą przy tartakach. Jest ich tam może kilka tysięcy — może więcej. W brazylijskim stanie Santa Catharina jest ich mniej więcej taka sama liczba, lecz osiedlonych na ziemi. W brazylijskim stanie Rio grande do Sul obliczają naszych rodaków na 40.000, lecz z wyjątkiem kolonii S. Feliciano, pomięszani są bardzo z Włochami i Niemcami, nie tworzą jednolitych wielkich kolonii, choćby przeważnie polskich. Za to w brazylijskim stanie Parana, mającym 244.000 kilometrów kwadratowych i ludności mało co więcej niż 250.000, żywioł polski wynosi około 80.000 ludności. Skolonizowana część Parany nie zawiera prawie innych kolonii prócz polskich, sąsiadujących ze sobą. Jest to część kraju najchłodniejsza i najmniej urodzajna. Najpiękniejsze ziemie parańskie są dotąd zupełnie niezaludnione. Skupienie to ludności polskiej jest tak korzystne, jak żadnej innej narodowości w Brazylii, z wyjątkiem tylko chyba Włochów w stanie S. Paulo. Lecz tego prawie nie znać, bo koloniści składają się z ludzi prostych. Mało co tu przybyło dotąd polskiego stanu rzemieślniczego, przemysłowego i handlowego. Za to po miastach ton nadają nieliczni w Paranie Niemcy swym przemysłem i handlem, oraz niezłem zorganizowaniem się w towarzystwa i spółki.

»Dwojako można tu zasilić żywioł polski: liczebnie i jakościowo. Liczebnie, przez ściąganie większej liczby Polaków, ale pod warunkiem, że będzie przygotowany dla nich grunt pod nogami, t. j. warunki istnienia. Inaczej sprowadzanie rodaków naszych, choćby na najżyźniejszy grunt, ale bez stwarzania im źródeł dochodu i zarobku, równało by się zamknięciu ich w pokoju na zagłodzenie. Więc trzeba te źródła zdobywać, zakładając polskie przedsiębiorstwa, podnoszące kulturę, kolonizacyjne, eksploatacyjne, przemysłowe, handlowe, albo korzystając z tych, które zostały założone przez inne narodowości. Tym sposobem z korzyścią przybylibyśmy tu Polacy z innych części Ameryki i z Europy. Jakościowo zasilić można i trzeba istniejący już na miejscu żywioł polski przez podniesienie jego poziomu za pomocą towarzystw, szkół i spółek, towarzystw rzemieślniczych po miastach, rolniczych po wsiach. Tam gdzie powstanie towarzystwo, łatwo za nim powstanie szkoła i chętniej się znajdują z bliska i z daleka ludzie, łożący na oświatę czy to szkolną, czy to książkową. Kilka towarzystw powstało głównie w celu założenia szkoły polskiej. W wielu miejscach z wielką łatwością powstałyby i umocniłyby się, gdyby ktoś tylko do tego zachęcił, sporządził statuty lub je przesłał gotowe, oraz przesłał czasopisma i książki.«

KOŁO,

taniec Słowian południowych, Serbów, Horwatów i Słoweńców.

Obok innych tańców narodowych, układem i muzyką podobnych do tańców innych Słowian, powszechnym i najbardziej lubionym jest u wymienionych narodów taniec »koło«.

W święta i Niedziele po południu schodzą się młodzieńcy i dziewczyny na majdan sioła, według możności każdego jak najlepiej poubierani.

W niektórych okolicach panuje po wsiach jeszcze wspólność majątku, cała gmina tworzy jakoby jednę rodzinę, której głową jest starosta.

Tutaj nie ma panów i sług, ale owszem w tych stronach, które się kupiectwem i przemysłem podniosły, a nawet zbogaciły, panuje jeszcze zwyczaj, że sługa i pan prawie razem żyją, zarówno się prawie bawią.

Młodzieńcy i dziewice zeszedłszy się do »koła«, chwytają się za ręce, tworzą rzeczywiste koło, w środek wstępuje wiodący zawsze rej młodzian i trzyma poduszkę przez ramię, zaprasza potem jednę z dziewczyn do siebie, klękają na poduszce, a całe »koło« toczy się w około nich, śpiewając i podrygając. Zwykle dziewczęta rozpoczynają wprzód »koło«, wabiąc męzką młodzież śpiewem do siebie.

Kolo igram, kolo igram
Na dwunajst junaka.
Wu tom kolu, wu tom kolu
Mlada dewa tańca

Aj ta dewa, aj ta dewa, crne oczy ima.
Ljubi djewa, ljubi djewa, kogo ti je draga.
Meni drago, meni drago, mładogo junaka,
A taj junak, a taj junak, crne oczy ima.

Zrozumieją z pewnością Szanowni Czytelnicy nasi tych kilka zwrotek słoweńskich, nadmieniamy tylko, że »junakiem« nazywają tam dorosłego dziarskiego parobczaka.

Kołu przygrywa dudziarz wiejski, którego wszędzie znaleźć można w całej Słowiańszczyznie, albo też zaproszeni za zapłatą gęsto tam rozsiani cyganie. Starsi wiekiem ojcowie i matki rodzin nie biorą udziału w »kole», stoją tylko w około, przypatrując się tańczącym.

I tu panuje zwyczaj śpiewania przy tańcu; kołowódzca wzywa każdego z tańczących młodzieńców do zaśpiewania jakiej piosenki, a ci intonują rozmaite stósowne śpiewki, które kołownicy razem dośpiewują.

»Szto ću[1]) junak, ustreli me strela,
Duszo Stano, iz twog ljeca bela.
Oczy twoje to su strele moje,
Twoje ruke to su moje muke!

A już inny poczyna zwrotkę:

Evo szora,[2]) kud sam prolazio,
Ewo kuće,[3]) kdje sam dolazio,

[1]) co czyni, [2]) oto ulica, [3]) oto dom, chata, kuće pochodzi od koczować.

Ewo pendżer,[1]) kud sam ulazio,
Ewo dika, koju[2]) sam ljóbio.

Trzeci narzeka:

Oj djewojko, twoje oczy czarne,
Oczy czarne i obrwe wrane;
Gledajuczi w obrwe twoje —
Ja prodadoh swe wolowe moje!

Ładnie przytem umie figlarny młodzian zaglądać w te czarne piękne oczy swej lubicy.

Śpiewy milkną i tańce się kończą z nastaniem mroku; gdy głos dzwonów wieczornych rozlegając się w dal, wzywa do wieczornej modlitwy, zasyła i nasz brat Słowianin z południa swoje »Anioł Pański« ku niebu.

Po spożyciu wieczerzy odzywają się jeszcze smętne fujarki, których głos miły a rzewny tak mile i słodko przemawia każdemu do duszy.

Wreszcie noc kładzie koniec świątecznej zabawie i każdy udaje się na spoczynek, by pokrzepiony na siłach rychło wstał do świeżej pracy.

[1]) oto okno, [2]) którą sam lubię, kocham.

Rozmaitości.

* **Historya mufy.** I mufka damska ma swoją historyę. Po raz pierwszy ukazała się ona, o ile zdołano stwierdzić, w Wenecyi w końcu XV wieku. Nie miała ona wówczas zbyt wielkich rozmiarów, a bywała robiona z aksamitu, brokateli lub jedwabiu, podbijana futrem i zapinana z dwóch końców na kosztowne guziki. W wieku XVI nosili i mężczyzni bardzo zbytkowne mufki, przybrane wstążkami, złotemi galonami, pasmanteryą, frendzlami i haftem. Pierwsze mufki sobolowe widziano u pani Fontanges, jednej z pań dworu Ludwika XIV. Scarron napisał jednę z najzjadliwszych satyr przeciw nadużywaniu »grzania rąk.« Za Ludwika XVI noszono tylko mufki z materyałów, potem dopiero weszły w modę gronostaje, sobole, a w końcu modre lisy i olbrzymie mufki z kóz angorskich, które w sankach służyły prawie za kołdry. W końcu XVIII wieku mufka stała się znów mała i wytworna. Wreszcie w r. 1830 powróciła do dawnej objętości, zastosowanej do krynoliny i bufiastych rękawów, aż w r. 1855 aktorka Desclée nie chciała wystąpić inaczej, jak z małą mufką, która utrzymała się do dnia dzisiejszego.

* **Wędrujące miasto.** W Stanie Waszyngtońskim leżało do niedawna miasto New-Kamilchie ze stu domami, trzema hotelami, pocztą, teatrem i koleją łączącą Kamilchie z resztą bożego świata. Kolej ta zbudowana głównie dla transportu pni drzewnych ścinanych w pobliskich dziewiczych lasach, jest własnością wielkiego przedsiębiorstwa tartakowego Port Blakeley Mill Company. Właścicielom kolei spodobało się posunąć jej punkt końcowy o $2^1/_2$ mili ku brzegowi morza, by zbliżyć się do dogodniejszej dla władowywania towaru zatoki. Mieszkańcy Kamilchie przeważnie robotnicy i kupcy musieli zatem codziennie odbywać drogę długą $2^1/_2$ mili do nowej stacyi. Nie podobało im się to, postanowili więc przenieść całe miasto. Domy budowane ze sztab żelaznych rozebrano, wpakowano także na łodzie gmach teatru, pocztę, spichrze, dwa hotele i morzem przetransportowano całe miasto o dwie mile dalej. Mieszkańcy nowej kolonii zawiązują poprostu The Railway'Town miastem kolejowem, gniewa ich tylko to, że po listy muszą jeszcze codzień jeździć koleją do Kamilchie. Pocztmistrz bowiem bez zapytania swej władzy nie poważył się na przeniesienie poczty na swym grzbiecie jak ślimak za przykładem swych współobywateli.

* **Telegraf bez drutu przed 40 laty.** Czasopismo szkockie »Dundee Advertiser« podaje ciekawą wiadomość, wedle której sposób telegrafowania bez drutu wynaleziony został przed półwiekiem z górą.

Sława ta powinna przypaść w udziale uczonemu przyrodnikowi z Dundee, Jomesowi Bowman Lindsay, zmarłemu w roku 1862. Od roku 1831 pracował nad tym wynalazkiem i doprowadził go do rezultatów praktycznych w roku 1857. W obecności wielu uczonych przedstawił on telegraf bez pomocy drutu z jednego końca Earl Gray Drocks w Dundee — na drugi. Jako przewodnika użył on wody. W następstwie zdołał telegrafować z jednego brzegu rzeki Tay (szerokości dwóch mil angielskich)

na drugi. W roku 1859 przedstawił wynalazek towarzystwu brytyjskiemu w Oberdeen

Twierdził on, że gdyby założono dwie stacye telegraficzne w Wielkiej Brytanii, jedną w Kornwalii i jedną w Szkocyi, zaś dwie stacye w Ameryce, to możnaby bez drutu telegrafować przez Ocean.

Przed laty czterdziestu wynalazek ten wywołał wielkie zajęcie, ale na tem się skończyło. Nie wprowadzono go w życie. Lindsay zmarł w ostatniej nędzy.

* **Dziesięć przykazań na zimę.** Jeden z angielskich dzienników, poświęconych nauce o zdrowiu, ogłasza następującą przestrogę na zimę: 1) Nie będziesz rano z domu wychodził z pustym żołądkiem. 2) Nie będziesz wystawiał się na zimne powietrze zaraz po wypiciu gorącego napoju. 3) Nie będziesz wychodził na powietrze bez osłonięcia dobrze piersi i pleców. 4) Nie będziesz oddychał na drodze ustami, lecz nosem. 5) Nie będziesz zwracał się do pieca plecami. 6) W wagonie nie będziesz stał przy oknach, ani będziesz jechał odkrytym powozem, odbywszy ćwiczenia gimnastyczne. 7) Nie będziesz stał długo i bez ruchu na śniegu lub lodzie. 8) Bez konieczności nie będziesz na dworze rozmawiał. 9) Nie zapominaj brać codzień kąpieli, która robi odporniejszemi na zimno pory twej skóry. 10) Nie będziesz kładł się do łóżka z zimnemi lub przemoczonemi nogami.

* **Miliard** (1000,000,000) **minut** ubiegnie w ostatnim dniu roku bieżącego od narodzenia Chrystusa. Wprawdzie licząc rok po dni 365, a więc 525,600 minut, ów miliard upłynąłby dopiero w r. 1903, że jednak istotny bieg czasu skraca obliczenie takie o 7 lat, zatem owa okrągła. a pokaźna cyfra minut przypadnie w dniu 31 grudnia 1897 r.



Ciotka: Dla czego to, chłopcy, napuszczacie sobie wody do butów?



Chłopcy: Dla tego, ciotko, dla tego....

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.